



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Orzeszek

Czas dojrzewania

Wojenne dzieciństwo trwało dla mnie od 13 do 18 roku życia. Urodziłem się 31 maja 1927 roku w Horodyszczu koło Pińska, na Polesiu, zwanym także Kresami Wschodnimi II Rzeczypospolitej.

Pierwszy dzień wojny zbudził nas o świcie odgłosami bombardowań odległego o 16 km Radomia. Wyraźnie pamiętam ówczesny ogólny zamęt. Na gwałt wszyscy zajęli się wyklejaniem pasków papieru na szybach okiennych, aby nie powypadały od huku i z rosnącym niepokojem wsłuchiwali się w niezrozumiałe komunikaty jedyne na okolicę bateryjnego radia w urzędzie gminy. Wkrótce nastąpiło jednak coś bardziej szokującego. Biegąca przed naszymi oknami szosa zaludniła się tłumem cywilnych, zmęczonych ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy na różnego rodzaju wozach, wózkach, rowerach i pieszo, przeważnie z niewielkim, podręcznym bagażem, wędrowali w pamiętnym wrześnieowym skwarze i kurzu w kierunku Zwolenia, uciekali na wschód. Była to masowa wędrówka ludu. Uciekali podobno nawet ze Śląska i Wielkopolski przed nadchodzącymi Niemcami, którzy jak wieść niesła, okrutnie traktowali Polaków. Byłem zbyt młody, aby mieć jakieś własne zdanie na ten temat, pamiętam jednakże, iż pogłoski takie u wszystkich rodziły niepewność i strach. Wędrówka tych ludzi była czymś niesamowitym. Zastanawiałem się co się dzieje. Tyle razy słyszało się, że w razie czego mieliśmy szybko pokonać Niemców i „nie oddać ani guzika...”. Wrzesień tego roku był wyjątkowo ciepły i pogodny. Uciekinierzy kładli się do odpoczynku pokotem, gdzie kto mógł, nawet na gołej ziemi. Matka moja bez przerwy wystawiała przed dom wiadra z wodą do picia i rozdawała chleb, dopóki go miała. Podobnie postępowali inni. Patrzyłem na to nie rozumiejącymi oczami. Nie pamiętam jak długo to trwało, ale przestałem się tym żywiej interesować, ponieważ nastąpiły inne problemy, bezpośrednio nas dotyczące.

Którejś nocy zostałem gwałtownie obudzony. Rodzice byli ubrani, matka zapłakana, ojciec rozdygotany ze zdenerwowania. Dotarło do mnie, że zaraz przyjadą furmanki (tzw. podwody), którymi także i my mamy być ewakuowani na wschód. Matka nie chciała jechać, wzbraniała się. Ojciec jednak, powołując się na otrzymane telefonicznie rozkazy oraz na jakieś tam wiadomości o niemieckich okrucieństwach wobec Polaków, że gwałcą kobiety, że obcinają im piersi itp. – zagroził, że będzie musiał zastrzelić ją, mnie i siebie, bo przecież nie może dopuścić, aby Niemcy okrutnie nas wymordowali. Matka w końcu ustąpiła. Zaczęło się pakowanie najniezbędniejszych rzeczy. Wszystko to docierało do mnie z jakimiś wewnętrznymi oporami, nie rozumiałem tego, nie mogłem pogodzić się zwłaszcza z myślami, że do niedawna głośno oznajmiana polska mocarstwowość tak gwałtownie się kończy. Wszystko mi się nie zgadzało. Czy się bałem? Nie! Przeciwnie, w swojej ówczesnej głupocie zacząłem się pocieszać perspektywami może jakiejś ciekawej przygody? Raźniej więc włączyłem się do ładowania wozu, a przede wszystkim zadbałem, aby mieć przy sobie swój cenny scyzoryk i inne chłopięce drobiazgi – zabawki.

Pojechaliśmy wreszcie. Dwie furmanki. Na jednej, mniejszej, ja z matką, koszem na bieliznę, kilkoma garnkami, pierzyną, poduszką itp., a na drugiej rodzina posterunkowego Wołukanisa z podobnym dobytkiem. Nie pamiętam jak pojechała żona trzeciego policjanta, ale ona była sama, dzieci tam nie było. Naszym furmanem był znany mi młody człowiek z Gozdu – Heniek Chebdowski, powożący czarną, żrebną kobyłą. Tego drugiego furmana nie znałem, był sporo starszy od Heńka, miał większy wóz i silniejszego konia. Gdy wyruszyliśmy było jeszcze ciemno. Ojcowie – policjanci mieli opuścić posterunek PP nieco później, ale zupełnie nie wiadomo było gdzie i kiedy mamy się spotkać.

Po przebyciu około 15 kilometrów, gdy już wstał dzień, tuż za Zwoleniem obok wsi Załazy kolumna wozów, w której i my jechaliśmy, została ostrzelana z broni maszynowej i zbombardowana przez samoloty niemieckie. Chowaliśmy się w przydrożnych rowach. Pamiętam dziwny świst, jaki wyprzedzał wybuchy bomb. Był to zamierzony przez Niemców, przerażający efekt akustyczny. Były pierwsze ofiary. Krzyk ludzi, leżące zakrwawione ciała, ranne i zabite konie. Byliśmy tym przerażeni i zdruzgotani. Coś takiego przeżyaliśmy po raz pierwszy – śmierć i nieszczęście były obok nas. Podczas chwilowej przerwy w nalotach większość furmanek z szosy rzuciła się poprzez wieś do pobliskiego lasu. My razem z nimi. Samoloty jednak wkrótce wróciły. Na wsi wybuchł pożar, rosła panika. Samoloty zawzięcie ostrzeliwały i bombardowały uciekających do lasu. Wydawało się, że pod drzewami będzie bezpieczniej, ale gdzie tam – groza była ta sama. Matka osłaniała mnie swoim ciałem mówiąc, że jak mamy zginąć to oboje. Wreszcie dali nam spokój. Dziwne to było bombardowanie, gdyż w naszej kolumnie wozów w ogóle nie było wojska. Był to całkowicie cywilny tabor, a mimo to tak zajadle atakowany. Jaka i z kim ta wojna? Po raz pierwszy w życiu widziałem wówczas ludzi zabitych i rannych, widziałem i słyszałem rozpaczliwe reakcje dotkniętych nieszczęściem. Moje, jakże młode wówczas serce, ścisnął żal, że tak nas maltretują, a my jesteśmy bezradni, bezbronni i uciekamy!

Wkrótce po nalotach, jeszcze w lesie, nasi furmani zaczęli zachowywać się jakoś inaczej. Mój rówieśnik z drugiego wozu Walek Wołukanis podsłuchiwał, jak się naradzali, aby zrzucić nasze rzeczy i uciec z wozami z powrotem do domu. Poinformowane o tym matki uderzyły w płacz, a potem prosiły furmanów, aby nie porzucali nas w tym obcym miejscu na pastwę losu, aby mieli sumienie itp. Oni jednak ponuro milczeli, równie jak my przerażeni tym pierwszym bombardowaniem. Pamiętam, że ja byłem do gruntu tym wzburzony, gardziłem takim zachowaniem, nie rozumiałem go. W myślach postanowiłem bronić nas, tak jak to w ówczesnej sytuacji było możliwe. Mianowicie pamiętałem, że ojciec wsadził do naszego kosza z bielizną swój prywatny rewolwer – nagan bębnekowy z futerałem. Dobrze go znałem, gdyż od zawsze leżał on w naszej szafie i nieraz, gdy nikogo nie było – długo się nim bawiłem. A w ogóle z bronią to ja byłem obeznany od bardzo wczesnych lat. Najczęściej ja czyściłem ojca karabin, gdy wracał ze służby. Dobrze wiedziałem do czego służy broń. Wyciągnąłem więc ten rewolwer z kosza i przypiąłem go sobie do paska, po czym spacerując w pobliżu szepczących do siebie furmanów demonstrowałem niby mimochodem, że jestem uzbrojony. Byłem stosunkowo duży i silny. Chłopięca twarz na tle całej postury nie była specjalnie widoczna. Za bardzo lekceważyć mnie nie było można. Głośno rozmawiałem z Walkiem, że jakby co, to ja strzelać umiem i nie zawaham się, by rewolweru użyć. Było to moje pierwsze, publiczne że tak powiem, wystąpienie z bronią. Okazało się skuteczne, furmani bowiem zrezygnowali ze swoich wcześniejszych zamiarów i wieczorem, w zgodzie oraz przyjaźni pojechaliśmy dalej w kierunku Puław i Żyrzyna. Przy pewnym sprzeciwie matki, na wszelki wypadek rewolweru od pasa już nie zdjąłem, nosiłem go do końca ucieczki.

Po całonocnej podróży i krótkim śnie pod drzewami w lesie, zbudził mnie gwar i uradowany głos matki. Okazało się, że jakimś cudem, kierując się intuicją i rozpytując ludzi, odnalazł nas w tym lesie mój ojciec. Wkrótce dołączył także posterunkowy Wołukanis. Bardzo nas to ucieszyło i uspokoiło. Pojechaliśmy razem dalej na wschód, w kierunku rzeki Bug. Pamiętam jak bardzo ta podróż była męcząca. Wozy na żelaznych obręczach, trzęsło okropnie, odpoczynki krótkie i byle jakie – na wozie lub ziemi. Niedostatek jedzenia, a często i wody. W obawie przed samolotami jechaliśmy głównie nocami. Byłem za młody, by orientować się w marszrucie. Pamiętam tylko długotrwałe, potworne zmęczenie i tęsknotę za odpoczynkiem i jedzeniem. W skrytości ducha marzyłem, by znaleźć się w jakimś ustronnym zakątku, najlepiej gdzieś w głębi lasu, by mieszkać tam stale, nie widzieć ludzi i nie bać się samolotów ani Niemców. To były takie półgorączkowe majaki, rzeczywistość była twarda. Ciągłe jechaliśmy dalej, ciągle uciekaliśmy. Próbowaliśmy dostać się do Małoryty n/Bugiem, gdzie mieszkały dwie siostry mamy i mogliśmy się tam spodziewać przynajmniej dostatku jedzenia. Ale masy wojska jadącego w przeciwną stronę, zmusiły i nas do zmiany kierunku. Pojechaliśmy gdzie indziej, a tym samym wymarzony odpoczynek u ciotek nie spełnił się. Nadal podążaliśmy na wschód, byle jak najdalej od zbliżających się Niemców. Tak dotarliśmy do terenów, gdzie ludność wiejska mówiła tylko po białorusku lub ukraińsku.

Któregoś dnia podczas noclegu w tzw. chutorze, tj. oddzielnie położonym gospodarstwie, u rodziny nie mówiącej po polsku – gospodarz wywołał ojca na bok i zaczął wypytywać gdzie i po co my jedziemy. I wtedy on dopiero ojcu powiedział, że od wschodu idą bolszewicy, a wiadomo co oni robią z takimi jak pan – „panoczku”... Był to życzliwy Polakom człowiek, ostrzegł o grożącym nowym niebezpieczeństwie. My zupełnie nic o tym nie wiedzieliśmy, w ogóle nie byliśmy tego świadomi. W mojej młodej duszy wręcz

niewyobrażalne było, że Polska może być zaatakowana także z drugiej strony. Nie chciało dotrzeć do mnie, że może być tak łatwo rozbita i pokonana. Bolszewików znałem tylko z opowiadań i wrywkowej lektury „Rycerza Niepokalanej”. Ojcom – policjantom znane były gorsze wieści, o rozstrzelaniu polskich policjantów oraz o zsyłkach na jakieś bezludne „wyspy sołowiejskie”, gdzie umierano z głodu itp. Co było zatem robić? W którą dalej stronę uciekać? W końcu postanowiono jednak wracać w kierunku domu, tam gdzie mieszkaliśmy przed ucieczką. Może uda się tam jakoś przeżyć i odzyskać przynajmniej część pozostawionego dobytku.

Pamiętam, że od chwili ostrzeżenia o zbliżających się bolszewikach jechaliśmy tymi naszymi furmankami całą noc, co sił starczyło, z powrotem w kierunku rzeki Bug. W jednej z mijanych wsi, w oświetlonej latarniami szkole odbywał się jakiś wiec, było tam dużo mężczyzn, rozlegały się podniesione głosy, krzyki, które znająca język rosyjski mama określiła jako wybitnie wrogie Polakom i Polsce. Przemknęliśmy obok tej szkoły i przez tę wieś jak duchy, na szczęście niezauważeni. Nad ranem dołączyliśmy do większego taboru różnej zbieraniny wojskowych, cywilów i policjantów, także dążących z powrotem na zachód. Poczuliśmy się raźniej, mimo nadal trwającej pełnej anarchii wojennej. Nie było żadnej władzy, wojsko rozbite, cofające się, ponure i zdezorientowane. Oficerowie nie panowali nad sytuacją, a policja była w rozsypce. Nikt nic nie wiedział, poza tym, że „nóż w plecy” i trzeba ratować się jak kto może.

Wyłoniło się równocześnie nowe niebezpieczeństwo w postaci uzbrojonych grup ukraińskich, tworzonych niby tylko w celu rozbijania Polaków, ale jak krążyły pogłoski – także tych Polaków mordujących. Poruszanie się więc w większym polskim skupisku – taborze, dawało większą nadzieję przetrwania. Wśród tego zróżnicowanego zbiorowiska działy się różne rzeczy. Widziałem jak tęgi oficer w długich butach pędził za jakimś uciekającym i wielokrotnie strzelał do niego z pistoletu – nie wiadomo dlaczego. Na wielu postojach widziało się polskich żołnierzy naprawdę zrozpaczonych, płaczących. Wielu spośród nich niszczyło posiadaną broń, wyrzucali zamki, rozbijali kolby karabinów o drzewa, łamali szable. Wszystko to robiło na mnie wstrząsające wrażenie.

W miarę zbliżania się do Bugu tabor nasz rozrósł się poważnie, liczył już chyba około 200 furmanek i wozów z ludźmi, jako tako uzbrojonymi. Zwiększało to poczucie bezpieczeństwa, ale i ciągle rosło zagrożenie ze strony białoruskich lub ukraińskich band. Nieraz widzieliśmy z daleka grupy idących nie wiadomo dokąd cywilów, chłopów – ze sterczącymi nad głowami lufami karabinów. W pewnym miejscu droga wiodła obok widocznego w oddali cementarza. Dotarła wiadomość, że przygotowali tam zasadzkę. Powstał duży niepokój, ale na szczęście tym razem okazało się to nieprawdą. Zbliżyliśmy się do leżącej blisko Bugu sporej miejscowości o nazwie Luboml. Znów wieści, że mieszkający tam Ukraińcy mają zamiar nas przez ten Luboml nie przepuścić, a innej drogi nie było. Powstał kolejny duży zamęt, bliski paniki. Część ludzi, a zwłaszcza kobiety i starcy szukali ratunku także w modlitwie. M.in. moja matka zdjęła mi z szyi medalik z wizerunkiem Św. Andrzeja Boboli, zawiesiła go na wozie i tam klęcząc też się modlili. W taborze było sporo wojskowych, w tym także oficerów, ale w obliczu realnego zagrożenia komendę nad całością samorzutnie przejął stosunkowo młody, wysoki i urodziwy – jak mi się wydawało – posterunkowy Policji Państwowej. Jak się później okazało był bardzo odważny i energiczny. Zamiast sztywnej czapki nałożył beret i galopując na koniu wzdłuż taboru nawoływał uzbrojonych mężczyzn do stawienia się na przodzie w celu zorganizowania obrony. Dało to efekt. Zebrała się wystarczająca grupa do obrony. Ten dzielny policjant zdołał w zamieszaniu i tumulcie opanować sytuację. Pamiętam, że i ja próbowałem wyrwać się do przodu, nosiłem przecież przy pasie rewolwer, ale matka uchwyciwszy mnie oburącz od tyłu ten mój wojowniczy zamiar udaremniła. Niestety, miałem wówczas tylko 12 lat. Poszli ojcowie. Było dużo strzałów, obrona odparła atakujących Ukraińców. Przejechaliśmy przez Luboml bez większych strat.

Wieczorem byliśmy już nad brzegiem Bugu, ale niestety przed zniszczonym bombami mostem. Podczas postoju przeżyliśmy jeszcze jedną emocję, a mianowicie zaistniała obawa, że nasz koń, nasza niezawodna dotychczas kobyła jest chora – miała gorące uszy i pokładała się. Bardzo się tym zmartwiliśmy, furmani jednak jakimiś swoimi sposobami wyleczyli ją, gdyż dobra, kochana kobyła pociągnęła dalej. Późną nocą przejechaliśmy Bug w bród – trasą przez kogoś wytyczoną, jedna furmanka za drugą, po pas w wodzie. Na drugim brzegu była wieś, gdzie już wszyscy mówili po polsku. Pamiętam radość, że wreszcie jesteśmy wśród naszych, wśród swoich Polaków. Dalsza jazda, to kierunek Lublin, w którym podobno pokazali się Niemcy. Dlatego okrążyliśmy miasto bocznymi drogami. Zwarty do niedawna tabor poważnie się postrzępił, jechały luźno większe i mniejsze grupy furmanek.

Będąc z powrotem na głównej szosie w kierunku Puław – zobaczyliśmy wyjeżdżających z boku Niemców, okrążających nas, zamykających dalszy przejazd. Wielka niewiadoma i niepewność co nas teraz spotka. Zobaczyłem ich wtedy po raz pierwszy. Patrzyłem z wielką uwagą. Obce, butne i nieprzyjazne twarze, obca szczekliwa mowa, a równocześnie bardzo eleganckie, porządne i efektowne – jak na nasze ówczesne wyobrażenia – umundurowanie, sprzęt oraz broń. Wtedy jeszcze Niemcy nie wywoływali w nas zbyt gwałtownych odczuć i odruchów, przede wszystkim byli bardzo, ale to bardzo obcy. Jeden z nich głośno po polsku zapowiedział, że mamy oddać broń, a kto tego nie posłucha – będzie zastrzelony.

Zabrzmiało to jak zgrzyt rozbitego szkła i niemile przypominało o pogłoskach donoszących o okrucieństwie i mordach ze strony Niemców. Jadąc wolno, rzucono na kupę obok drogi najróżnorodniejszą broń. Nasi ojcowie też rzucili tam swoje karabiny i ładownice. Mojego zaś nagana osobiście zdjął mi z paska stojący obok Niemiec. Z wielkim zdziwieniem zobaczyłem, że wśród grupy oficerów niemieckich jest także polski major w pełnym umundurowaniu, zachowujący się bardzo swobodnie. Słyszało się różne pogłoski o zdradzie, także w wojsku polskim i chyba to co pod Lublinem zobaczyłem, było tego jakimś potwierdzeniem.

Po wielu perypetiach – wojskowych bowiem brano do niewoli – udało się nam pojechać dalej, aż do wsi Ruda obok Końskowoli pod Puławami, gdzie mieliśmy zatrzymać się na dłużej. Na moście bowiem w Puławach Niemcy ustawili posterunek i prawie nikogo nie przepuszczali. Utworzyli jakby granicę na Wiśle. Trafiliśmy do wyjątkowo życzliwych gospodarzy. Przyjęli do swego obejścia i domu kilka rodzin, chyba kilkanaście osób, byli wyrozumiali i dzielili się tym co mieli. Matka moja pomagała im przy wykopkach ziemniaków. W moim sercu szczególne miejsce zajął stary, siwy dziadunio, z którym śpiewaliśmy legionowe pieśni oraz prowadziliśmy długie, ciekawe rozmowy.

Wkrótce okazało się, że można przejechać most, ale trzeba mieć odpowiednie papiery z miejsca stałego zamieszkania. Zorganizowaliśmy więc zbiórkę pieniędzy i starszy furman przeprawił się wynajętą łódką na drugą stronę, dotarł do Gozdu, a po kilku dniach zjawiała się u nas matka naszego Heńka z zaświadczeniami gminy, że jesteśmy tam stałymi mieszkańcami. Przejechaliśmy więc Wisłę i dotarliśmy do domów w Goździe. Ojcowie oczywiście już jako cywile. Zastaliśmy puste ściany mieszkania, wszystko rozgrabione i powynoszone nie wiadomo dokąd. Przyjęła nas do siebie życzliwa rodzina sekretarza gminy, pana Kosiora. Mogliśmy rozłożyć się na podłodze i korzystać z kuchni. Część naszych rzeczy odnalazło się, trochę ludzie oddali, ale w zasadzie rozpoczynaliśmy życie jak gdyby od nowa.

Ojciec wybierał się do swego przyrodniego brata w Łęgonicach nad Pilicą, by wynająć i przygotować tam dla nas jakieś pomieszczenie, w którym moglibyśmy przeczekać okres wojny. Łudziliśmy się, że tam los będzie dla nas łaskawszy. Zanim jednak odszedł, został wraz z sekretarzem gminy, panem Kosiosem, aresztowany przez wojsko niemieckie, stacjonujące w pobliskiej wsi Kuczki. Aresztowanie to spowodowała córka niemieckiego kolonisty, niejaka Bergerowa, która manifestując jeszcze przed wojną swoją niemieckość została przez policję aresztowana i odtransportowana do Radomia. Ale nic się jej tam nie stało, wkrótce cała i zdrowa wróciła. Pragnienie zemsty pozostało. Upoiła wódką i swoimi wdziękami oficera Wehrmachtu, który popisywał się przed nią co to on może i potrafi. Znęcali się nad ojcem i Kosiosem, bili ich i poniewierali, zmusili wreszcie do wykopania dołów, w których po zastrzeleniu mieli być zakopani. Ale póki co na ratunek pospieszyła córka pana Kosiora. Będąc tuż po maturze umiała porozumieć się po niemiecku. Dysponując młodością i większą niż Bergerowa urodą oraz posługując się płaczem i błagalnymi gestami, m.in. na klęczkach całując po butach – wyjednała u owego nabuzowanego alkoholem „szkopa”, że puścił tych dwóch aresztowanych na chwilę do domu, by mogli coś zjeść i zaraz z powrotem mieli wrócić. Konwojujący żołnierze jakoś nie za bardzo przejmowali się swoją rolą, ponieważ zarówno ojcu jak i Kosiorowi udało się ulotnić, a owa jednostka wojskowa jeszcze tej samej nocy pomaszerowała gdzieś dalej. Zemsta zatem Bergerowej tym razem nie udała się, odgrażała się jednak dopilnować tego później.

Ojciec dotarł do Łęgonic, załatwił tam co było trzeba i przyjechał po nas furmanką, by nas stąd zabrać. I znowu jakieś fatum. Byłem przy tym, wszystko widziałem i na własne uszy słyszałem. Akurat siedzieliśmy w kuchni, gdy urzędujący już w Gemeindeamt pan Kosior przyprowadził do tejże kuchni, a przede wszystkim do ojca jakichś dwóch cywilów. Jeden z nich po polsku ogłosił, że są urzędnikami policji i gestapo z Radomia i korzystają z okazji, że zastali ojca, jako przedwojennego komendanta posterunku Policji Państwowej. Przekazują zatem rozkaz, aby natychmiast zgłosił się na komendzie w Radomiu i tam otrzyma instrukcje co do odtworzenia polskiej policji i powrotu do służby. Ojciec w pierwszej chwili zbraniał. Jakże to zwycięski wróg i przedwojenna polska policja? To się absolutnie nie zgadzało. Odmówił więc, wzbraniał się, argumentując przypadkiem Bergerowej oraz jej dążeniem do zemsty. Na to ów mówiący po polsku Niemiec wygłosił mniej więcej następujące słowa: „Jeśli ja mam rozkaz zastrzelić 3 osoby, to musi być zastrzelone nie 4 i nie 2 – tylko trzy. Pan miałeś rozkaz aresztować, to musiałeś ten rozkaz wykonać i bez gadania. Teraz masz pan rozkaz ponownie stawić się do służby w policji i musisz go wykonać, bo w przeciwnym razie zastrzelony zostaniesz ty i twoja rodzina. Zrozumiano?” Wylegitymowali przy tym ojca, zapisali jego dane, adresy pobytu i odjechali. Nie pamiętam dokładnie co się wówczas w mojej głowie działo, czułem tylko ogromny żal, że łamie się tyle razy omawiany i ustalony przedtem plan zamieszkania w ustronnej i spokojnej, jak się wydawało, wsi nad Pilicą. Ten kontakt z Niemcami i ich żądanie całkowicie wyprowadziły ojca z równowagi. Nie wiedział co robić, czy ich posłuchać czy uciekać gdzieś w inne strony. Radził się znajomych, a zwłaszcza pana Kosiora. Wszyscy podkreślali, że z Niemcami nie ma żartów, że w razie odmowy mogą się okrutnie zemścić, tak jak zapowiedział gestapowiec, na całej rodzinie. Nie było rady, ojciec załamał się i poddał, zgłosił się do Radomia i przyjął polecenia odnośnie odtworzenia przedwojennego posterunku PP w Goździe. Pamiętam, że po powrocie założył kompletny przedwojenny mundur policyjny z orzelkami na czapce i guzikach. Jak na ironię,

pierwszą czynnością w tym przedwojennym mundurze była obrona Żydówki Mośkowej, której żołnierz niemiecki chciał zabrać krowę. Ojciec odebrał mu postronek z krową i oddał Mośkowej. Ja to widziałem. Niemiec wybałuszył oczy, ale widząc mundur nie oponował, pomruczał i odszedł. To paradowanie w przedwojennym mundurze nie trwało długo. Niemcy zadbali, by ta policja tylko z nazwy była polska.

Tak zaczęło się nasze życie w męczącej, pełnej niepokoju i grozy okupacji. Musieliśmy żyć w warunkach, jakie wbrew naszej woli zaistniały. Utworzony w tym samym miejscu co przed wojną posterunek polskiej policji, w tym samym trzyosobowym składzie, był przez okupantów traktowany jak ledwo tolerowana atrapa, udająca ośrodek zwalczania kryminalnych przestępstw. Rzeczywiście, przez pierwsze lata okupacji posterunek niewiele robił, skupiając się na ściganiu drobnych, wiejskich złodziejasków, godzeniu kłócących się i bijących sąsiadów oraz na przeciwdziałaniu jawnemu pijaństwu i awanturnictwu. W tamtych latach na naszym terenie nie działał jeszcze dynamicznie ruch oporu, a przez to policja polska nie była w tym czasie włączana i zmuszana przez Niemców do działań haniebnych. Nie słyszałem też, aby w kontaktach z ludnością naszych stron policjanci mieli jakieś ostre zatargi lub konflikty. Ojciec i posterunkowy Wołukanis robili wszystko co możliwe, aby przetrwać, dlatego nie mieli wśród ludzi wrogów. Tylko posterunkowy A. okazał się gadem i sługusem niemieckim, na którego Sąd Podziemny AK wydał wyrok śmierci. Gdy pojawiły się w terenie pierwsze oddziały partyzanckie, te małe posterunki, takie jak w Goździe, polikwidowano, przyłączając je do dużego w Jedlni Letnisko. Tam też przeniesiono ojca. My z matką zostaliśmy czasowo sami.

Niemka Bergerowa rzeczywiście nie dała ojcu spokoju, dalej oskarżała i szkodziła jak tylko mogła. Z tego powodu którejś nocy żandarmi ze Zwolenia zabrali go i kilka dni maglowali i przesłuchiwali w sprawie Bergerowej. Wypuścili w końcu, ale nie było wiadomo na jak długo. Zdecydowały chyba kiepskie opinie o prowadzeniu się Bergerowej i jej pijaństwach oraz zapewne słaba z tego powodu jej przydatność dla szpiegowskiego aparatu okupantów.

Wielką troską mojej mamy było to, że przez pierwsze lata wojny ja praktycznie nic nie robiłem, trwonilem czas nie wiadomo na co i nie uczyłem się. Uważała, że nauka w zakresie przedwojennego gimnazjum jest moim najważniejszym obowiązkiem. Sama starała się, aby ktoś kto tylko jako tako się nadawał, przychodził do nas i wkładał mi w łepetyną wiedzę, przynajmniej przez jedną lub dwie godziny dziennie. Miałem tych pseudonauczycieli kilku. Niestety, nic to nie dawało. Albo oni nie umieli uczyć, albo ja to wszystko miałem w głębokim poważaniu i zupełnie nie chwytałem tego co należało. To były lata 1940-1941, a częściowo i 1942. Mnie interesowało zupełnie coś innego – pisałem grafomańskie, ale patriotyczne wiersze i elegie, które potem korkowałem w butelkach i zakopywałem, aby nie dostały się w niemieckie ręce. Dużo zajmowałem się rysowaniem i akwarelowym malowaniem, do czego rzeczywiście miałem zdolności. Muzykowałem jako samouk na skrzypcach i na fortepianie – przy pomocy organisty oraz „zachorowałem” na czytanie książek. Lektura tak mnie fascynowała, że traciłem poczucie czasu. Wszystko to wywoływało czasem energiczny sprzeciw matki, no bo powinienem przede wszystkim się uczyć... Gdy zaś zdobyłem i zacząłem czytać trylogię Sienkiewicza, było ze mną już zupełnie źle. Zatopiłem się w tej lekturze bez reszty. Czytałem nawet w łóżku, pod kołdrą jak pod namiotem, przy świetle latarki bateryjnej. Za bardzo pasjonujące uważałem też inne książki m.in. Sergiusza Piaseckiego „Kochanek wielkiej niedźwiedzicy”, która była jakby przecuciem tego co wkrótce miało w moim życiu nastąpić, co sam podobnie miałem przeżywać. Było to zupełnie ciekawe życie, działo się jakby na marginesie wojny, jakby w półświadomości tego co faktycznie dookoła się dzieje. A działy się przecież rzeczy straszliwe i tragiczne. Wybuchła epidemia tyfusu i czerwonki. Zwłaszcza od tyfusu ludzie umierali codziennie dziesiątkami. Każdego dnia ciągnęły konduktu pogrzebowe na cmentarz w Kuczkach. Ogarniało nas przerażenie, mówiło się, że tyfus wykończy wszystkich. I nas dosięgła ta tragedia. Przeszwarcowana do nas zza Buga moja siostra cioteczna Janka Błażewiczówna, której rodziców i rodzeństwo bolszewicy wywieźli na Sybir, w wieku 18 lat, na kilka tygodni przed terminem swojego ślubu z Frankiem Łagowskim – zmarła na tyfus. Był to bardzo bolesny cios. Okupacyjne dni toczyły się nadal.

To moje nieefektywne wałęsanie się przerwane zostało gdzieś w roku 1942-1943, kiedy to poznałem rówieśnika z sąsiedniej wsi, syna nauczyciela a równocześnie właściciela dużego gospodarstwa rolnego – Kazika Burakowskiego. On to bowiem zaprotegował i wprowadził mnie do kompletu tajnego nauczania, prowadzonego przez inżyniera Stefana Brodowskiego w oddalonej od nas o około 7 kilometrów wsi Czarna koło Pionek. Jeździliśmy tam rowerami. Była to już namiastka prawdziwej szkoły i nauki. Inżynier z powodu pokaźnej łysiny nazywany przez nas „Łyskiem”, był człowiekiem niepospolitym. Pomimo technicznego wykształcenia imponował wszechstronną erudycją, a m.in. w zakresie humanistycznym. „Pana Tadeusza” recytował z pamięci godzinami. Był rzeczywiście wybitnie inteligentny i utalentowany jako pedagog. Stary kawaler, mieszkający tylko z matką, trochę zdziwaczały oryginał, ale on nas nie tylko uczył – on nas także wychowywał, wszczepiał cechy i zasady ludzi porządných, uczciwych, rzetelnych i odpowiedzialnych – głęboko miłujących swoją Ojczyznę. W poważnym stopniu „Łysek” uformował nas jako tych, co równolegle podjęli zbrojną walkę z okupantem. Na długo zachowaliśmy go w sercu.

Wolny czas, którego miałem teraz znacznie mniej, przeznaczałem głównie na sport. Biegałem za kolegą na rowerze po 5 kilometrów, kopałem na łąkach piłkę i namiętnie, do upadłego grałem w siatków-

kę. Za stodołą jednego z gospodarstw wkopaliśmy dwa drągi połączone kilkoma grubymi sznurami i to było boisko do siatkówki. Graliśmy na nim z chłopakami ze wsi do ciemnej nocy. Któregoś popołudnia podszedł do nas młody, dobrze zbudowany brunet z imponująco długimi bakami, trochę znany mi z widzenia jako kręcący się koło gminy – u rodziny Włodarczyków, niejaki Gumiński, podobno wysiedleńca z Łodzi. Zaczął z nami grać w tę siatkówkę. Robił to świetnie, ścinał znakomicie. Upatrzył sobie mnie jako partnera wystawiającego piłki. Doszło do tego, że my dwaj po jednej stronie wygrywaliliśmy z kilkunastoma chłopakami po drugiej stronie boiska. Lubilem tego wysiedleńca, a ponadto imponował mi sprawnością fizyczną. Kiedyś chcąc mu usłużyć, przyniosłem leżącą na poboczu jego marynarkę, przy czym wyczułem w kieszeni żelazo pistoletu. Ukryłem zdziwienie, ale zacząłem patrzeć na Gumińskiego innymi oczami, nie wiedziałem kim naprawdę był.

Po jakimś czasie którejś nocy rozległo się walenie w drzwi i okna, żądanie otwarcia – no i kilku uzbrojonych cywilów weszło do naszego skąpo oświetlonego lampą naftową mieszkania. Osłupiałem, gdy wśród nich ujrzałem mojego kompana od siatkówki, ubranego w jakiś błyszczący, gumowy chyba płaszcz, z pasem wojskowym i koalicijką oraz trójkątną, brązową kaburą. W ręku Vis – pistolet cudo, najlepszy produkt przedwojennej fabryki broni w Radomiu. Okazało się, że Gumiński był dowódcą tych ludzi. Zwracano się do niego z dużym respektem i dyscypliną. Wydawał mi się w tym wcieleniu bardzo męski i urodziwy. Był to porucznik „Cezar”, dowódca pierwszego leśnego oddziału partyzanckiego, który pojawił się na naszym terenie. Przyszli do nas w określonym celu. Po pierwsze, aby spotkać się z moim ojcem, który już wtedy działał w wywiadzie i specjalnie przyjechał na to spotkanie z Jedlni Letnisko, a po drugie, aby mieszkającego z nami Franka Łagowskiego prosić o przywiezienie z Radomia, ze wskazanej apteki, potrzebnych im lekarstw i środków opatrunkowych. Mnie, swego kompana od siatkówki „Cezar” wywołał na bok, poklepał po plecach i oznajmił, że mam milczeć na temat tego co widziałem i że jeszcze nieraz się spotkamy.

Było to dla mnie ogromne przeżycie. Do rana nie spałem, po czym pogałem do Kazika Burakowskiego, by z wypiekami na twarzy i w tajemnicy wszystko mu opowiedzieć. Mieliśmy wówczas już po więcej niż 15 lat. Rwaliśmy się do czynu. „Cezar” stał się bodźcem do poszukiwań kontaktu, umożliwiającego także nam udział w walce z okupantem. „Dymilo” się z naszych głów, ale jak na razie bezskutecznie. Oddział „Cezara” poszedł gdzieś w nieznane, nam pozostawało tylko kręcenie pedałami rowerów w kierunku kompletu „Łyska” w Czarnej.

Nie pamiętam szczegółów, ale to chyba Kazik dowiedział się gdzieś, że coś wspólnego z podziemną robotą może mieć niejaki Lucjan Molendowski, mieszkający w zarośniętym krzakami domku na końcu wsi Budy Niemianowskie. Po długich rozmyślaniach i naradach doszliśmy do wniosku, że trzeba wykorzystać zdarzenie, które niedawno nas spotkało. Mianowicie – wracając z Czarnej, podczas chwilowego postoju w lesie usłyszeliśmy strzały oddane jakby w naszym kierunku, o czym świadczył też hałas kogoś jakby uciekającego. Poszliśmy więc do tego pana Molendowskiego, opowiedzieliśmy przygodę, która nas spotkała i zapytaliśmy, czy on nie byłby w stanie nam w tej sprawie jakoś pomóc lub przynajmniej doradzić, co mamy robić. Lucjan M. wysłuchał nas uważnie, zapytał o to i owo, po czym kazał poczekać i wszedł do domu. Po chwili wrócił, wyciągnął z kieszeni piękny, oksydowany pistolet i na wyciągniętej dłoni podał go nam ze słowami, aby użyć go tylko w ostateczności i tylko wtedy, gdybyśmy zostali wprost zaatakowani. Równocześnie wyznaczył termin, kiedy mamy zwrócić pistolet. Odeszliśmy pijani ze szczęścia. Nawiązaliśmy wreszcie ten wymarzony kontakt, a ponadto w kieszeni mamy piękną broń, z zaufaniem nam pożyczoną. Nie mogliśmy się nacieszyć tym pistoletem. Był z nami również u „Łyska”. Co jakiś czas ten, który akurat go miał, wychodził do domku z serduszkim (WC) i tam z rozkoszą oglądał go ze wszystkich stron, przymierzał do ręki, celował, chował w różnych częściach ubrania itp. Ktoś by może dziś powiedział – „gównarzeria”. Może i tak. Ale to my byliśmy tymi, dla których pistolety wkrótce przestały być zabawką i stały się najważniejszym narzędziem walki z wrogiem. To my – z dzieci wkrótce staliśmy się „psychicznymi starcami”.

W wyznaczonym przez Lucjana M. terminie poszliśmy do niego, oddaliśmy pistolet i tym razem odbyliśmy dłuższą rozmowę. Otóż okazało się, że Lucjan M. jest dowódcą nieznaną nam wówczas jeszcze organizacji podziemnej. Nosił pseudonim „Kraska” i miał nas obu od pewnego czasu na oku, przewidując, że wcześniej czy później, ale na pewno wstąpimy do jego organizacji. Wkrótce też dowiedzieliśmy się, że organizacja ta to ZWZ, czyli Związek Walki Zbrojnej, przekształcony później w Armię Krajową. Kontakt nasz był teraz częstszy, ale wystąpiła pewna trudność, a mianowicie: nie mieliśmy jeszcze po 16 lat i z tego powodu nie mogliśmy złożyć przysięgi. Tym samym nie mogliśmy stać się normalnymi żołnierzami podziemia. Lucjan M. zdecydował, że musimy poczekać aż osiągniemy te wymagane przepisami 16 lat, a do tego czasu będziemy jakby kandydatami, wykonującymi jednak pewne zlecane i pożyteczne dla organizacji zadania. Równocześnie mocno nakładł nam do głowy i zagroził „kulą w łeb” w razie, gdybyśmy komukolwiek powiedzieli o kontakcie z nim i o tych tajnych sprawach, do których zostaniemy dopuszczeni. Od tego czasu kontakt z „Kraską” utrzymywaliśmy już ciągle, ale jeszcze bez broni.

Bezpośrednio po ukończeniu 16 lat, będąc już po wstępnym przeszkoleniu dywersyjno-wojskowym, złożyłem według obowiązującego tekstu przysięgę na krzyż i broń. Przyjąłem pseudonim „Stal” i formal-

nie już stałem się żołnierzem – partyzantem Armii Krajowej. Wchodziłem w skład Placówki AK Kuczki, dowodzonej przez ppor. Lucjana Molendowskiego ps. „Kraska”, wchodzącej w skład Inspektoratu AK Radom i 72 pułku piechoty AK im. Dionizego Czachowskiego, będącego częścią Korpusu AK „Jodła”. Czynną służbę żołniersko-partyzancką pełniłem w latach 1943-1945, kończąc ją w stopniu kaprala.

Nasz dowódca Lucjan M. był synem gajowego. Przed wojną służył zawodowo w wojsku polskim. Brał czynny udział w wojnie 1939 roku, a po powrocie do domu rodzinnego bezzwłocznie przystąpił do gromadzenia broni i amunicji oraz organizowania działalności podziemnej. Ten człowiek prowadził mnie przez dwa ostatnie lata okupacji, był moim lubianym i szanowanym dowódcą, decydującym o moim życiu i śmierci, był też przewodnikiem, powiernikiem oraz zawsze serdecznym przyjacielem.

Tereniem naszego działania była cała gmina Kuczki z siedzibą urzędu w Goździe, od północy granicząca z gminą Gzowice w Jedlni Letnisko i lasami puszczy kozienickiej, a z przeciwnej strony z gminą Skaryszew i lasami iłżeckimi. Wspomniana wcześniej szosa pomiędzy Radomiem i Zwoleniem stanowiła pewnego rodzaju oś, przy której koncentrował się ruch niemieckiej maszyny wojennej, zwłaszcza po ataku na ZSRR. Z tego powodu, jak też z powodu bliskiej odległości do Radomia (siedziby gestapo, żandarmerii itp.) tereny w pobliżu tej szosy – tam gdzie mieszkaliśmy – nie były bezpieczne, a ludzie żyli tam w ciągłym strachu i potencjalnym zagrożeniu. Inaczej sytuacja wyglądała dalej od szosy, gdzie zupełnie nie było twardych dróg, a miękkie, piaszczyste szlaki wozów konnych znacznie utrudniały poruszanie się niemieckich pojazdów mechanicznych. Wsie tamtejsze, aczkolwiek licznie zaludnione, były na ogół biedne, zaś gospodarstwa drobne. Zupełnie nie było elektryczności, ani wodociągów, żadnego przemysłu – pełne zacofanie cywilizacyjne. Lesistość nieduża, ale za to na horyzoncie prawie wszędzie widać było różnej wielkości kępy i smugi drzew, często łączące się ze sobą, a tym samym stanowiące naturalną osłonę, ułatwiającą ukrywanie się tych, którzy tego potrzebowali. Bliskość wielkich kompleksów leśnych kozienickich i iłżeckich powodowała, że teren gminy Kuczki dobrze nadawał się do organizowania patriotycznej działalności konspiracyjnej, jak też do dość swobodnej penetracji przez leśne oddziały partyzanckie. W tych to warunkach przyszło mi działać w podziemiu i walczyć o Polskę.

Placówkę AK ppor. Lucjan M. „Kraska” zorganizował według najlepszej woli, wiedzy i umiejętności oraz obowiązujących w konspiracji zasad i wytycznych. Byliśmy stosunkowo dobrze uzbrojeni. Posiadaliśmy broń rzutową i zdobyczną: LKM-y, RKM-y, Steny, Schmeissery, różne typy kb i kbk, broń krótką i granaty. Pod koniec okupacji, w roku 1944, zaprzysiężonych ludzi było w placówce około 200, ale w razie powszechnej mobilizacji można było postawić pod broń około 500 osób. Żołnierze – partyzanci placówki „Kraska” biorący udział w planowych akcjach obowiązkowo występowali w biało-czerwonych opaskach z literami AK. Miejscem postoju i stałym punktem kontaktowym komendanta był dom jego rodziców, położony bardzo dogodnie w gęstych krzakach, na skraju lasu we wsi Budy Niemianowskie. Przez miejsce to przewinęło się w latach okupacji wielu znakomitych partyzantów, dzielnych Polaków i odważnych działaczy AK-owskiego podziemia.

Spośród ... żołnierzy – partyzantów wyróżniających się odwagą, dyspozycyjnością i determinacją, a byli to głównie ludzie najmłodsi – „Kraska” zorganizował wyodrębnioną i bezpośrednio sobie podporządkowaną jednostkę o nazwie „Specjalna Drużyna Bojowa”. Trzon kadrowy SDB stanowili: Kazik Burakowski ps. „Braz” i Stanisław Grzywacz ps. „Apollo” z Bud Niemianowskich, ja – ps. „Stal” i Józef Luboch ps. „Mały” z Gozdu oraz Zenon Mazur ps. „Lewy” z Lasek i Stanisław Góralski ps. „Góral” z Czarnego Lasu. W sumie Drużyna liczyła około 15 ludzi, dobieranych doraźnie – w zależności od rodzaju i stopnia trudności przewidywanych do realizacji zadań. W razie potrzeby byliśmy koncentrowani razem na dłuższe okresy. Kadrowi członkowie niezależnie od broni, przeważnie maszynowej, otrzymanej na czas akcji, wyposażeni byli na stałe w indywidualne uzbrojenie – broń krótką i granaty. Ja posiadałem 14-strzałową belgijską „FN-kę”, kal. 9 mm z zapasowym magazynkiem, co dawało możliwość oddania bez dodatkowego ładowania 28 strzałów oraz zawsze nie mniej niż dwa ręczne granaty (jajka).

Przy użyciu tej jednostki placówka wykonała szereg trudnych, a niekiedy brawurowych akcji, skierowanych przeciwko okupantowi i kolaborantom, a także mających na celu ochronę ludności cywilnej przed bandytyzmem i przed różnego rodzaju innymi przejawami moralnej degradacji. Placówka „Kraska” jako całość, stanowiła liczącą się w terenie siłę, wprawdzie zakonspirowaną, ale poprzez swoich ludzi działających w patrolach i indywidualnie – stale realizującą różne formy walki z hitlerowskim okupantem i innymi antypolskimi oraz przestępczymi elementami. Współdziałała ona z przebywającymi na naszym terenie (okresowo) AK-owskimi oddziałami leśnymi, dowodzonymi przez wspomnianego już Michała Gumińskiego ps. „Cezar”. Niestety „Cezar”, nasz wielki przyjaciel i serdeczny druh, został w niewyjaśnionych do końca okolicznościach pod Molendami koło Kozienic zastrzelony przez Polaków z innej organizacji. Potem dowódcami tego oddziału byli ppor. Ignacy Pisarski ps. „Maria” oraz – najdłużej – Stefan Bembiński ps. „Harnaś”, bohaterski dowódca aż do okresu powojennego. Bardzo blisko i prawie na co dzień współdziałaliśmy też z oddziałem ppor. Jerzego Dąbkowskiego ps. „Longin”. W tym wszystkim bezpośrednio lub pośrednio uczestniczyłem i ja.

Okupanci zachowywali się w stosunku do Polaków butnie i zbrodniczo. Przykładów tego było dużo. Sam widziałem mundurowego Niemca (kolonistę z Janowa mówiącego po polsku), który z jakąś kobietą

przyjechał samochodem z Radomia, ustawił na skarpie karabin maszynowy i strzelał seriami do rozciągającej się niedaleko wsi. Strzelał do ludzi jak do wróbli. Sam też widziałem, jak przed knajpką starego Lubocha zatrzymał się samochód gestapowski, na burcie którego byli dwaj postrzeleni, obficie krwawiący młodzi Polacy. Bili ich i kopali, a następnie zastrzelili w lesie koło Podgóry. Po powrocie myli ręce i raczyli się wódką u Lubocha. Sam na własne oczy widziałem, jak umundurowani Niemcy gnali całą szerokością szosy, straszliwie zbiedzony i zrozpaczony tłum żydowskich rodzin do radomskiego getta, a dowódca eskorty, elegancki oficer, siedząc na bryczce w dwa konie, ze znużoną miną strzelał z parabelki to tu, to tam – tak dla rozrywki. Tylko że za każdym strzałem padał zabity lub ranny człowiek, dobijany następnie przez eskortę. Na co dzień widziałem butę niemieckiego żołdactwa, pogardę wobec Polaków, grasowanie żandarmów jak sępów, których najczęstszym odezwaniem się było bicie i strzały. Sam widziałem podczas spędu końskiego, jak Niemcy batami furmańskimi regulowali ruch i porządek, jak bili w mordę chłopów i strzelali w łeb. Nieraz sam uciekałem przed łapankami na roboty do Niemiec, organizowanymi w sposób przypominający polowania na zające z nagonką. A maltretowanie ojca z powodu oskarżeń Bergerowej? Coraz częściej też dochodziły wieści, co wyrabia radomskie gestapo na ulicy Kościuszki z chłopakami, którzy mieli nieszczęście wpaść w ich ręce, co się dzieje w obozach koncentracyjnych (nazwa Oświęcim była już nam znana), co się wreszcie dzieje na Firleju – gdzie wymordowano setki Polaków! Wiedzieliśmy o publicznym wieszaniu i rozstrzeliwaniu itp., itd. To wszystko bardzo głęboko zapadło w nasze dusze, to rodziło tę krańcową nienawiść, wyzwalającą we mnie i w nas wszystkich tę wielką energię, przeradzającą się w chęć nawet największych poświęceń, byle w jakiś sposób pognębić wroga, zaszkodzić mu i przegnać z polskiej ziemi.

Dlatego właśnie w ramach naszej Placówki AK „Kraska” przeprowadzaliśmy różne akcje zbrojne, starcia bezpośrednie lub ostrzeliwanie z zasadzek, skierowane zarówno przeciwko jednostkom niemieckim, jak i pojedynczym Niemcom w celu ich eliminowania, rozbrajania, a przynajmniej terroryzowania (zastraszania). Tylko w pewnym stopniu pętała nas świadomość, że zawsze groził odwet ze strony hitlerowców i represje wobec ludności cywilnej. Ryzyko to w warunkach wojny, a zwłaszcza w warunkach ludobójczej i barbarzyńskiej wojny prowadzonej przez hitlerowską III Rzeszę – było nieuniknione.

Najbardziej przeżyłem przypadkowe starcie zbrojne z patrolem niemieckiego pociągu wojskowego w Jedlni Letnisko, podczas którego zginęło kilku Niemców, ale poległ też mój bliski kolega i przyjaciel Stanisław Grzywacz ps. „Apollo”. Mieliśmy zadanie rozbroić pewnego volksdeutscha oraz zabrać mu radio, a skończyło się na walce i śmiertelnych ofiarach. Nie da się opisać co przeżywalismy po stracie „Apolla”, zwłaszcza z Kazikiem B. „Brązem”, który był jego kuzynem. Był to pierwszy zabity po naszej stronie, a przy tym serdeczny przyjaciel i kolega. Podobnie mocnych przeżyć doświadczyłem podczas strzelaniny z żandarmerią niemiecką w pobliżu wsi Podgóra, z żołnierzami niemieckiego podsłuchu lotniczego koło wsi Czarna oraz z patrolem Wehrmachtu na skraju wsi Słupica. Sporo czasu i wysiłku poświęciliśmy na przepędzanie przyfrontowych taborów Wehrmachtu i własowców, rabujących chłopom produkty rolne, a zwłaszcza siano, ale i nierzadko dokonujących gwałtów kobiet i mordów. Często urządzaliśmy zasadzki w bezludnych miejscach przy szosie Radom – Zwoleń, w celu niszczenia konkretnych obiektów, samochodów lub motocykli lub przynajmniej utrudniania Niemcom komunikacji. Polegało to na ostrzeliwaniu z zasadzek i obrzucaniu przyczep ciężarowych butelkami samozapalającymi się. Zrywaliśmy druty telefoniczne, ścinalismy słupy, rozkładalismy na jezdni specjalne hakogwoździe do przebijania opon itp. Okupant miał z tego powodu wiele kłopotów i strat, a my byliśmy nieuchwytni.

Oddzielny rozdział stanowiły akcje i zasadzki w okolicy Siczek oraz w okolicy Pionek, gdzie fabryki prochu pilnowały lasy na bimber patrole kolaboranckich Werkschutzów. Ich skutkiem było niezrozumiałe dla władców niemieckich „znikanie” bez śladu niektórych strażników, których najczęściej podejrzewano o dezercję. Nam zależało na zdobyciu mundurów, a nierzadko i broni. Wiele wysiłku wkładaliśmy w zdobywanie lub odzyskiwanie broni posiadanej m.in. przez ludność cywilną. Niszczyliśmy punkty masowej produkcji alkoholu na handel, tzw. bimbru, udzielalismy ostrzeżeń oraz interweniowalismy wobec Polaków nazbyt gorliwie wysługujących się Niemcom, jak niektórzy sołtysi, tzw. koleczykarze, melioranci itp. Sporo miejsca w naszej działalności zajmowało zapobieganie i zwalczanie przypadków rozboju oraz pospolitego bandytyzmu wobec ludności cywilnej wsi. Udało nam się wyśledzić, a następnie doprowadzić do zlikwidowania jednej z najokrutniejszych band rabunkowych, która wymuszała od swoich ofiar pieniądze poprzez przykładanie do gołego ciała rozżarzonych do czerwoności fajerek – krążków kuchennych. Brałem też udział w pomocy, jakiej nasza Specjalna Drużyna Bojowa udzieliła Placówce AK Skaryszew, gdzie w czasie kilkunastu dni i nocy „uspokajalismy teren” w związku (o czym wtedy nie mieliśmy pojęcia) z kwaterą w majątku Maków – komendanta Inspektoratu AK Radom ppłk. Zygmunta Żywockiego ps. „Wujek”. Zadanie nasze polegało głównie na przeprowadzaniu – w odpowiedniej, jak przystało partyzantom scenerii – rozmów wychowawczo-pouczających i ostrzegawczych, łącznie niekiedy z karą chłosty. Co, jak i gdzie mieliśmy robić, ustalili wcześniej podziemny Sąd AK. Ta brawurowa akcja dała pożądane efekty. Pamiętam, jak bardzo podczas niej staralismy się przekonywać niektórych rodaków, że „język należy trzymać za zębami, nie zadawać się z wrogiem i pić

mniej wódki”. Kiedy indziej, podczas realizacji zadania polegającego na przejściu oraz przewiezieniu na inny teren paczki z nielegalną prasą – wpadłem w ręce Niemców. Uciekłem im, jednakże z kontuzją głowy na skutek uderzenia przez niemieckiego feldżandarma.

Nieco odmienną, ale także bardzo poważną część naszej działalności stanowiły przygotowania do Akcji „Burza”. Wyznaczono nam zadanie przygotowania się do udziału w zdobyciu lotniska wojskowego Sadków pod Radomiem, silnie bronionego z bunkrów. Musiał być opracowany szczegółowy plan tego działania, co wymagało wielokrotnego i bardzo niebezpiecznego rozpoznania wywiadowczego. Brałem w tym bezpośredni udział. Przygotowania te na szczęście nie musiały być przez nas zrealizowane, uczynił to wojenny front.

Po wybuchu powstania w Warszawie nasza placówka brała udział w mobilizacji całego Korpusu „Jodła”. Otrzymaliśmy pełne bojowe wyposażenie i kombinezony, zastępujące umundurowanie. Wyruszyliśmy zwartymi jednostkami w kierunku koncentracji pod Iłżą. Niestety, z uwagi na niemożność przedostania się – bez druzgocących strat – z rejonu Kielecczyny w pobliże Warszawy (nieprzyjaciel dysponował lotnictwem, czołgami i artylerią), dowódca Korpusu akcją tę odwołał.

Zanim zostałem pełnowartościowym żołnierzem – partyzantem Specjalnej Drużyny Bojowej, komendant „Kraska” zgotował nam istne „piekło na ziemi” w postaci specjalnych dziennych i nocnych ćwiczeń oraz szkoleń. Nigdy nie zapomnę wielokrotnie powtarzanego przepędzania nas w najtrudniejszym terenie i najgorszych warunkach – po jakichś rowach, strumieniach i bagnach, po zaoranych polu, krzakach i chaszczach, tyralierą z ubezpieczeniem naprzód i do tyłu, maskowania się i krycia w terenie otwartym i zalesionym, reagowania na zasadzki ciche i ze strzałami, zdobywania zabudowań, walki wręcz oraz tego czego osobiście najbardziej nie lubiłem – pokonywania w biegu i pośpiechu różnego rodzaju przeszkód, płotów, ogrodzeń, nawet siatki metalowej. W rezultacie jednak „piekło” w wykonaniu dowódców ćwiczeń – przedwojennych „zupaków” wojskowych – w przyszłości bardzo nam się przydało. Przez te mordercze ćwiczenia zmuszano nas do maksymalnych wysiłków, a tym samym zdobywania cennych w walce umiejętności oraz znacznej tężyzny i sprawności fizycznej.

Zarówno podczas tych ćwiczeń, jak i przy realizacji późniejszych akcji i zadań – życie nasze nie było łatwe, ani pachnące. Podstawowym środkiem lokomocji był rower, własne nogi i niekiedy tylko podwoda konna. Nie da się zliczyć kilometrów, które przejechaliśmy nocami, nie zawsze przy księżycu i gwiazdach, często w deszczu i błocie. W jeździe na rowerach po trudnym terenie, wąskich ścieżkach itp. osiągnęliśmy kunszt niemal cyrkowców. Do dzisiaj pamiętam nasze tygodniami nie schnące, przepocone ubrania, przemoczone buty, głód i chłód, wszy i świerzby na przemian oraz dni przesypane po nocnych akcjach gdzieś w polu lub lesie, w stodołach, brogach, albo na dechach wiejskich chat.

Jasne, że w sytuacjach ostrego zagrożenia życia my także baliśmy się, czasem nawet bardzo. Różnie nasze młode organizmy reagowały na strach, jeden z kolegów pocił się gwałtownie, u innego ostro odzywał się żołądek, mnie robiło się sucho w ustach i ścisnęło w gardle. Ale to trwało krótko i nie miało większego wpływu na nasze zachowanie się w trudnych sytuacjach. Nie pamiętam, abym bał się śmierci w boju i na polu chwały – jak to się mówiło. Tego nie było, zawsze bowiem w podświadomości tkwił patriotyzm i konieczność walki o wolność Ojczyzny, a te wówczas były ważniejsze niż życie.

Jak już wspominałem, oprócz działalności w AK czyniliśmy razem z Kazikiem Burakowskim ps. „Braż” znaczne wysiłki, by równocześnie i z jakimi takimi wynikami uczyć się jednak na tajnym komplecie inżyniera Brodowskiego. Nie było to łatwe. Uczyliśmy się na zasadzie „dopóki kuli nie połkniesz” – pomiędzy akcjami, po nieprzespanych nocach i w drodze do zadań zupełnie innych. Kilka razy w związku z pokazaniem się we wsi Niemców musieliśmy drzwiami i oknami, jak spłoszone ptaki, uciekać gdzie kto mógł, byle nas razem nie zobaczyli i nie schwytali. Najintensywniej uczyliśmy się w okresach zimowych, przy śmierdzących lampach naftowych, gdy siłą rzeczy nasza aktywność konspiracyjna nieco malała. Przerabialiśmy po dwie klasy gimnazjalne w ciągu roku, oczywiście nie było to doskonałe i na pewno powierzchnowe. Ale jednak coś tam pozostawało w głowie, czegoż rzeczywiście nauczyliśmy się, ukończyłem bowiem po wojnie liceum, zdałem maturę i wyższe studia.

Wszystkich członków Specjalnej Drużyny Bojowej – znających się nawzajem mimo konspiracji – łączyła szczerza przyjaźń. Nie byliśmy jeszcze zepsuci i zakłamani – nasza młodość czyniła te kontakty czystymi i spontanicznie szlachetnymi. Ja najbardziej zaprzyjaźniony byłem z Kazikiem Burakowskim, towarzyszem broni, niezawodnym druhem, z którym tyle razy spaliśmy pod jednym kocem i jedliśmy z jednej miski, odważnym i bojowym żołnierzem – partyzantem Placówki AK „Kraska”. Sylwetkę „Braża” z tamtych lat do dziś zachowuję w serdecznej pamięci. Budynki gospodarze posiadłości rodziców Kazika B. stanowiły główny ośrodek koncentrujący, poważnie ułatwiający konspiracyjną, ukrytą działalność Specjalnej Drużyny Bojowej. Tam przechowywaliśmy broń, często kwaterowaliśmy, zbieraliśmy się przed akcjami, a także w razie potrzeby byliśmy życzliwie przez mamę Kazika dokarmiani. Tam też, w domu rodziny Burakowskich, w niektóre niedziele i święta spotykała się znajoma męsko-damska młodzież, by potańczyć przy patefonie, by zapomnieć, że trwa okrutna wojna, pośpiewać razem i pomarzyć o przyszłości. Tam po cichu podkochiwałem się w uroczej Stasi, siostrze Kazika i przeżywałem pierwsze romantyczne rozterki duchowe.

Drugim ośrodkiem, gdzie spotykała się młodzież, w nieco innym składzie, była gmina i rodzina państwa Prasków w Goździe, do której latem przyjeżdżały z Radomia dwie urodziwe dziewczyny – Jadzia i Toluncia Wasilewskie. Przemiała gospodyni, pani Helena Praskowa, potrafiła stwarzać klimat i atmosferę, w której zawsze było nam ciepło i serdecznie. Piękne i urocze były te rozrywkowo-wypoczynkowe chwile i dni. Ale nie było ich dużo, zbyt często przytłumiane były echemi zdarzeń ponurych, brutalnie przypominających w jakim czasie żyjemy.

Pod koniec lata 1944, gdy front zatrzymał się na Wiśle, gdy nasz teren coraz ostrzej doświadczał przyfrontowych warunków (mordy, rabunki, gwałty ze strony niemieckich luzaków i skośnookich własowców itp.) – pewnego dnia kwaterowałem w zabudowaniach rodziców Kazika. W ładnym domu z oszkloną werandą od frontu mieszkała rodzina nauczyciela pana Mariańskiego, a u nich czasowo przebywała moja matka, jako że ojciec był nieobecny – ukrywał się, a przy szosie dla samotnej kobiety nie było bezpiecznie. Od tyłu zaś wchodziło się do Burakowskich, gdzie oprócz gospodarzy było jeszcze 5 czy 6 drobnego rodzeństwa Kazika. W sumie mieszkało w tym domu około 15 osób. My z Kazikiem krążyliśmy głównie po obszernych zabudowaniach gospodarskich, a przeważnie w tzw. stołówce, gdzie za zapolem było siano i stała bryczka gospodarzy. Na sianie mieliśmy poduszkę i jakieś przykrycie. Tam, gdy się dało, spaliśmy. W przyległej do stołówki stajni, pod końskimi brogami była jedna z kryjówek, gdzie w dużym worku papierowym przechowywaliśmy część naszego partyzanckiego oprzyrządowania, tj. pistolet maszynowy Schmeisser, kilka do niego magazynków, zapasową amunicję luzem, dwa lub trzy niemieckie granaty tzw. tłuczkowe, jednorazowe opatrunki oraz kilka biało-czerwonych opasek.

Któregoś dnia Kazik, wybierając się z końmi i pługiem na pole pod lasem przekazał mi, że dzisiaj przyjedzie tu młody chłopak przysłany przez „Kraskę”, który nie widział jeszcze z bliska Schmeissera. Prosił, abym wyciągnął wspomniany worek ze skrytki i nauczył gościa posługiwania się tą bronią. Dodał przy tym, że ponieważ wieczorem mamy iść na akcję, to nie muszę się męczyć chowaniem worka z bronią z powrotem pod bróg i mogę go ukryć w jakimś innym miejscu. Po pewnym czasie chłopak ten rzeczywiście się zjawił. W stołówce z sianem pokazałem mu Schmeissera, nauczyłem rozbierać i składać, a gdy odszedł uznając, że do wieczora już niedaleko, ułożyłem worek z bronią na sianie pod poduszką naszego posłania. Zadowolony z belferskiego uczynku poszedłem przed front domu, gdzie w ogródku znalazłem leżak, na którym z rozkoszą się ułożyłem. Na świecie było pięknie, końcówka lata, słonecznie, ciepło i cicho. Wieś rozciągała się w koło ze wszystkimi swoimi urokami. Ogarnęło mnie spokojne rozleniwienie, znikły gdzieś czujność i napięcie, wojna wydała się daleko... Zasnąłem. Obudziły mnie jakieś obce dźwięki i szcęk żelaza. Na pół otwartymi oczami zobaczyłem, jak przez na oścież rozwartą bramę wjeżdża na podwórko kolumna wojskowych wozów niemieckich z uzbrojonymi żołnierzami. Zdrętwiałem z wrażenia i zaskoczenia. Poderwałem się jednak instynktownie i prawie ocierając się o Niemców i ich wozy wyszedłem za bramę, na główną drogę wsi, kierując się w stronę domu „Kraski”. Jakoś mnie nikt nie zatrzymał. Zdażyłem jednak jeszcze zauważyć, że stary Burakowski prowadzi grupę Niemców wprost do stołówki, gdzie było siano. Łatwo było odgadnąć, że przyjechali rekwirować siano. Jak piorun z jasnego nieba uderzyła w mój mózg myśl, że przecież gdy będą je zabierali, muszą zauważyć worek z bronią, przykryty jedynie poduszką. No i zacznie się tragedia! Wiedziałem, że Niemcy w takich sytuacjach zachowują się zawsze jednakowo – brutalnie i zbrodniczo. Co robić? Ostrzec? Ale jak – nikogo w pobliżu nie było. Strzelać? Miałem bowiem przy sobie pistolet, ale co to da? Nieważne, że sam przy tym zginę, ale ich – tam w domu Burakowskich, mogę przez to jeszcze bardziej pograć. Co robić? Chyba instynktownie, ale i z rozpaczą w sercu, pobiegłem co sił i bez tchu wpadłem do „Kraska”, który na szczęście akurat był w domu.

Nie pamiętam co i jak mu bełkotałem – krzycząc, że za chwilę będą strzały i pożar u Burakowskich, że co ja narobiłem pozostawiając worek z bronią na wierzchu, na sianie itp. „Kraska” natychmiast kazał ojcu uciekać w las. Mnie i swoją żonę wyprowadził w gęste krzaki, skąd w pozycji leżącej można było widzieć kawałek drogi, którą Niemcy zapewne będą wracać. Pomimo upływu czasu strzałów nie było słychać, dymu pożaru również nie czuliśmy, nadal nie było wiadomo co tam u Burakowskich się dzieje. Leżąc w tych krzakach przeżywałem katusze wyrzutów sumienia, że przeze mnie zginą bliscy i drodzy mi ludzie. Pamiętam jak gryzłem ziemię, jak błagałem o cud, jak zamierałem z przerażenia myśląc o skutkach mojej nieostrożności. „Kraska” również był zdziwiony ciszą. Snuł uspokajające rozważania, że może się to skończy tylko aresztowaniami. W pewnym momencie usłyszeliśmy turkot i zobaczyliśmy jadące wozy niemieckie – te same, które były u Burakowskich, jednak puste, bez siana! Do jednego z tych wozów doczepiona była piękna, błyszcząca bryczka, którą w parze koni rodzina B. co niedziela jeździła do kościoła w Kuczkach i z której była bardzo dumna. Od razu skojarzyłem sobie, że bryczka ta stała w stołówce, gdzie spaliśmy i gdzie pod poduszką niedawno zostawiłem worek z bronią. Olsnienie! Widocznie Niemcom ta bryczka też się spodobała i zabrali ją! Ale zapewne dlatego zrezygnowali już z siana i odjechali szukać go gdzie indziej. Takie wytłumaczenie podzielaliśmy wszyscy i okazało się to prawdą. A zatem stał się cud, nie byłem przyczyną tragedii. „Kraska” obiecał „pogadać” jeszcze później ze mną na ten temat, a na razie kazał wracać i odpowiednio schować broń. Pamiętam, że szedłem na giętkich nogach, z jednej strony szczęśliwy, a z drugiej jakoś wewnątrz rozdygotany, z ciągle nie

opuszczającym mnie poczuciem winy. Na podwórzu zastałem starego Burakowskiego głośno przeklinającego Niemców za rabunek bryczki. Był bardzo wzburzony i zdenerwowany, krzyczał i machał rękami. A mnie naszło coś dziwnego. Zupełnie bez potrzeby poprosiłem go, aby poszedł ze mną do stołówki, gdzie wlałem na siano, kopnąłem poduszkę i pokazałem mu worek z zawartością w środku. Nie wiem kiedy i nie wiem jak to się stało, ale w pewnej chwili zobaczyłem milion gwiazd i ciemność. Ocknąłem się w pozycji świadczącej, że przed chwilą dostałem potężnie w łeb. To stary Burakowski w najwyższym wzburzeniu walnął mnie na odlew swoją ciężką łapą, klnąc i wykrzykując, że kiedyś przez nas wszyscy zginiemy itp. Gdy nieco ochłonął i ucichł zbliżyłem się do niego, schyliłem się niespodziewanie i pocałowałem go w rękę, przyrzekając że coś podobnego już się nie powtórzy.

Drugie wydarzenie miało miejsce również latem 1944 roku. Pewnego dnia otrzymałem od „Kraski” rozkaz natychmiastowego udania się do odległej o około 7 kilometrów wsi Czarna, celem przekazania łącznikowi dowódcy oddziału leśnego „Longina” ważnego meldunku o miejscu i terminie spotkania. Zadanie było terminowe – musiało być wykonane. Ponieważ podczas każdego pobytu w Czarnej staraliśmy się być także u inż. Brodowskiego, w związku z nauką – zabrałem do teczki plik zakazanych książek, za posiadanie których Niemcy wysyłali do obozu oraz zupełnie bezwiednie wcisnąłem pomiędzy nie jeden jajkowy granat. Tak na wszelki wypadek. Pistoletu nie brałem – sytuacja tego nie wymagała, bo miałem dość mocne papiery, dokumenty osobiste. Teczkę zawiesiłem na ramie, a na kierownicy parciany worek, mający sugerować, że jadę po jakieś produkty rolne. Nie przewidywałem żadnych niespodzianek w drodze. Jadąc przez pola od strony Bud Niemianowskich nie dostrzegłem w Słupicy nic nienormalnego. Przez samą wieś Słupicę jechałem ścieżką obok pól, zasłoniętych częściowo koronami drzew i krzewów. Posuwałem się wolno, bezmyślnie zagapiony przed siebie. W pewnym momencie, na niedalekim skrzyżowaniu dróg, zobaczyłem kilka stojących motocykli niemieckich z przyczepami oraz Niemców uzbrojonych i ubranych bojowo w hełmach i błyszczących, nieprzemakalnych płaszczach. Nie wiem, jak to się stało i jak to zostało wykonane, ale pamiętam, że gwałtownie zahamowałem i prawie w miejscu zakręciłem do tyłu, po czym w tym samym tempie pojechałem w przeciwnym kierunku. Nasłuchiwałem czy będą wołać. Nie było słyhać, ale z naprzeciwka ukazała się niemiecka ciężarówka jadąca w moim kierunku. Sytuacja stała się krytyczna. Przypomniał mi się granat w teczce. Nie było wyboru – z rozpędem wjechałem na najbliższe podwórze, odpiąłem teczkę i zdyszany zapytałem stojącą w drzwiach kobietę, czy mogę to gdzieś schować. Kobieta bez wahania odpowiedziała, abym wszedł po drabinie na strych i schował co trzeba w leżących tam grochowinach. Tak zrobiłem, po czym podziękowałem zapewniając, że przyjadę po to jutro. Obowiązywał mnie jednak twardy rozkaz -, musiałem do dojechać Czarnej. Poboczami nie mogłem, bo na pewno by zobaczyli i otworzyli ogień. Musiałem ryzykować, miałem mocne papiery. Było „halt!” i „hände hoch”. Dość długo deliberowali nad moimi dokumentami. Przekonało ich chyba zaświadczenie po niemiecku i po polsku z odpowiednimi pieczętkami z posterunku polskiej policji, że rower został mi przez policję wypożyczony na określony czas – co oczywiście było lipne i specjalnie spreparowane na wszelki wypadek. Niemcy w końcu uwierzyli, że jadę kupić cebulę i puścili mnie. Rozkaz wykonałem.

Następnego dnia rano stawilem się po moją teczkę. Już bez pytania wszedłem na strych i zabrałem co moje. Nic nie było ruszane. Idąc ku stojącemu pod płotem rowerowi skręciłem do ogródka, gdzie ta sama co wczoraj kobieta grzebała motyką w ziemi. Jeszcze raz jej podziękowałem. Wzbraniała się z podaniem ręki, że nie jest czysta i że nie potrzeba... Ale nie ustąpiłem. Pamiętam, że gdy całowałem po kilka razy jej obite, rzeczywiście niezbyt czyste, spracowane ręce, ogarnęło mnie rzewne wzruszenie, że pomimo strasznej wojny są jednak dobrzy ludzie, że ta wiejska babunia, która nigdy w życiu mnie nie widziała, nie znała i mogła bać się tego co ja w tej teczce miałem – bez wahania pomogła mi. Była w tym trudnym i niebezpiecznym czasie solidarna ze mną...

Wojna trwała jeszcze do maja 1945 roku. Nasz teren Armia Czerwona zajęła 15 stycznia 1945 roku.